

Portret dziewczyny zbuntowanej

Rozmowa z JADWIGĄ JANKOWSKĄ - CIEŚLAK

Muszę się Pani zwierzyć, że jeszcze przed obejrzeniem ostatniego... poniedziałkowego spektaklu, gdy przeczytałam zapowiedź, że właśnie Pani będzie grać rolę Peyton w „Pograżać się w mroku”, już niejako z góry, „na kredyt” podzielałam reżyserski wybór. Po prostu Pani wydaje mi się znakomicie przystawać do bohaterki Styrona...

??? Nie wiem. Chyba się na tym nie znam.

Peyton, niepogodzona, rogata, buntująca się, nie rozumiana i, by użyć modnego słowa — nie przystosowana do środowiska. Jest w tej dziewczynie coś współczesnego, nie sądzi Pani? Jej zagubienie i szamotanie się wśród otoczenia, najbliższych...

Może i dlatego od początku bardzo się zapaliłam do tej postaci. Choć uważam, że w powieści sylwetka Peyton była bogatsza niż w scenariuszu. Groźniejsza. Bardziej złożona, pokazana wszelkimi stronami. Ponieważ w przedstawieniu Teatru TV (jak przypuszczam) chodziło reżyserowi nie tyle o monografię tej bohaterki, więc musiała nastąpić naturalna w takim przypadku selekcja i kondensacja dotyczących jej wątków. W efekcie obraz Peyton stał się według mnie dość wyidealizowany i lekko banalny.

Rola Peyton pociągała mnie z innych przyczyn — czysto aktorskich. Sądziłam, że na tym materiale będzie można wiele próbować. Ale potem, w praktyce, przy pośpiechu nagrania, okazało się, że trzeba się skoncentrować na bardziej prozaicznych sprawach; najważniejsze dla mnie sceny musieliśmy nagrać w pół godziny.

Rola Peyton nie była Pani pierwszą rolą z rodzaju owych „buntujących się, nie pogodzonych”, że wspomnę choćby tytułową rolę Elektry w sztuce Giraudoux. Ten typ postaci, osobowości jakoś się powtarza w Pani aktorskich wcieleniach — czyżby to był tylko pewien przywilej młodego aktora, bo młodość zawsze kojarzy się z

buntem? Czy raczej jest to właśnie kwestia Pani osobistych sympatii, „pokrewieństwa duchowego”?

Nie znam siebie na tyle, żeby pani stanowczo odpowiedzieć, czy ten rodzaj postaci odpowiada mi najbardziej czy nie. Oczywiście, efekty są ciekawsze, gdy gra się postać zadziorną, zbuntowaną niż tę, która idzie na kompromisy.

Ale nie zagrałaby chyba Pani Amantki?

Chyba nie. Może to defekt? Proponowano mi na przykład rolę Julii, ale odmówiłam. Nie tylko dlatego, że miałam wtedy 23 lata, a Julia powinna liczyć najwyżej 16-18 lat. Choć... gdyby któryś z reżyserów potrafił odczytać rolę Julii w inny sposób, może wtedy zgodziłabym się na nią.

Moim marzeniem jest, by grać postacie bab z krwi i kości, i to wpłątane w dziwne sytuacje życiowe. Nie lubię grać potoczności. „Niech się pani tak zachowuje, jak normalnie w życiu” — mówią często reżyserzy. A mnie nie pociągają podpatrywanie normalnego życia, wolę podglądać ludzi w ich dziwactwach.

W tym miejscu muszę przytoczyć dwie sceniczne egzemplifikacje Pani marzeń — świetną rolę Matki ze sztuki Witkacego, którą grała pani w głośnym dyplomowym spektaklu „Akty” w reżyserii J. Jarockiego i obecnie rolę Małki w „Ślubie” Gombrowicza, w reżyserii tegoż Jarockiego, na scenie Teatru Dramatycznego. Obydwie z pogranicza groteski.

Bo ja w ogóle lubię wszystko oglądać w nieco krzywym zwierciadle. Lubię, żeby w obrazie było trochę sarkazmu, groteski, ironii, a i złośliwości.

Nie boi się Pani tak siebie ograbiać w niektórych rolach? Pozbawiać świadomości kobiecości?

Jest pani przekonana, że naprawdę pozbawiam się kobiecości? A może jestem po prostu sprytna?...

Rola Matki była chyba ciekawym zadaniem aktorskim. Grała przecież Pani — wów-

czas 20-letnia dziewczyna — starą kobietę.

Jej problemy nie przylegały do mnie zupełnie, ale ogromnie się starałam, żeby sprostać wymaganiom reżysera. Przyznaję, że strasznie męczyłam się nad tą rolą, ale pewnie dlatego miałam z niej tyle zadowolenia. To była cudowna przygoda i przy tym spotkanie z reżyserem z prawdziwego zdarzenia, który nas, wtedy studentów zupełnie jeszcze nie doświadczonych, potrafił całkiem serio i wiele nauczyć.

Z Jarockim spotkała się Pani powtórnie, ale już na scenie Teatru Dramatycznego, już jako aktorka z pewnym stażem. A wcześniej — Pani debiut w tym teatrze, w „Elektrze”, odbył się pod okiem równie znamienitego reżysera Kazimierza Dejmka. Była więc chyba okazją, by przeżyć przez odmienne „szkoły reżyserskie”.

Praca nad „Elektrą” pozostawiła mi jak najlepsze wspomnienia. Dejmek jest wspaniałym reżyserem, bardzo wrażliwym na aktora i podobnie jak Jarocki — szalenie wymagającym. A ja oczekuję od reżysera, żeby zameczył mnie na śmierć. Nie noszę pracować wypoczynkowo, na luzie; muszę walczyć z rolą, muszę się przekonać do wizji reżysera. Czuję,

że coś jest nie tak, kiedy reżyser zdaje się na moje propozycje, gdy ich nie odrzuca. Ja mam za mało doświadczenia i nie ufam sobie. Oczekuję, żeby reżyser ode mnie wymagał i niekoniecznie godził się z moim zdaniem.

Jak się pani czuła, gdy obejmując główną rolę w „Elektrze” znalazła się Pani obok znakomitości aktorskich tej miary co Rysiówna czy Hołoubek?

Zdaję sobie sprawę, że niewiele umiem i w dobrym zespole jestem jakby rozgrzeszona ze swych nieudolności. Bezpieczna nawet. Jest na kim polegać, jest się do kogo odwołać.

A ja dla przekory przypomnę opinię jednego z recenzentów o Pani debiucie w Teatrze Dramatycznym: „...gra całą sobą, z ogromnym zaangażowaniem i siłą, bez najmniejszej rezerwy na dystans i oddech...” Czy ta spontaniczność i emocjonalność to, pewnie trop w aktorskim warsztacie?

To pewna zasłona. Ja naprawdę jeszcze niewiele potrafię, a wiadomo, że młodemu aktorowi najłatwiej ratować się wielkim zaangażowaniem emocjonalnym. Na tym zresztą podobno polega



Jadwiga Jankowska-Cieślak jako Peyton w spektaklu „Pograżać się w mroku” według powieści W. Styrona

Fot. Zygmunt Januszewski

urok młodości. Podobno. Bo nie można przecież na tym poprzestać.

Przeżywa już Pani może jakiś nowy etap?

Usiłuję się przebić, robić coś nowego, ale mam niewiele możliwości. Ciągłe odczuwam niedosyt pracy, teraz też. Wróciłam niedawno do Warszawy po zakończeniu zdjęć do filmu według scenariusza E. Żebrowskiego i K. Zanussiego, przygotowywanego dla telewizji RFN, naładowana chęćmi, lecz cała moja energia wyładowała się jedynie na sprzątaniu nowo otrzymanego mieszkania...

Czy ma Pani prywatną receptę na te problemy swojego zawodu?

Jestem optymistką.

Przeżyła już Pani do aktorskiej profesji psychicznie?

To już się stało, myślę, podczas studiów. Właśnie lata studiów pozwoliły mi uświadomić sobie, na czym polega specyfika zawodu, zmieniły, niestety, całkiem moją mentalność. Było to wstępne rozpoznanie terenu, na którym będzie się przebywać później. Spędzaliśmy w Szkole Teatralnej cały dzień, ciągle byliśmy razem, cały dzień mówiono o teatrze. Żyliśmy teatrem wyłączeni z normalnego życia — mieliśmy więc już przedsmak tej enklawy i życia w środowisku zamkniętym.

Zamkniętym zamierzenie?

Po prostu to pewna konieczność — na co dzień praca w teatrze tak szalenie pochłania, że nie starcza czasu, a może nieraz i chęci, na inne kontakty. W świecie aktorskim ma się już wspólny język, żyje się problemami teatru, postaci, roli.

W domu również? Przepraszam, że wnioskuję — na przykład u Pani, w małżeństwie aktorskim?

Owszem rozmawiamy w domu o teatrze, ale już inaczej, na zasadzie plotek, ciekawostek. Rodzina jest dla mnie azylem, do którego mogę uciec, w którym mogę poczuć się normalnie. Bo przecież ten zawód daje pewne skrzywienie. Jakkolwiek by się mówiło o powołaniu, aktorstwo to jednak pewien defekt. Psychiczny. Pewna konstrukcja psychiczna, która pcha człowieka, by przeżyć inaczej życie.

W sposób zwielokrotniony, bogatszy?...

Chyba tak. Aktor, wczuwając się w odmienne osobowości, podkładając siebie, przeżywa swoje życie intensywniej, albo tak mu się zdaje. Szybciej się spala. Aktorstwo jest takim przedziwnym przyzwoleniem, żeby być sobą i jednocześnie kimś innym. Ba, nobilitowaniem tej inności nawet.

Aktorstwo traktuje Pani jako zawód czy raczej jako pasję, hobby?

Wszystko na raz — zawód i pasja (szewska). Łączą się w nim

różne elementy, pozornie nawet wykluczające się. Ja do aktorstwa podchodzę bardzo emocjonalnie.

Zaraz po studiach wybrała Pani pracę w teatrze dość nietypowym, stworzonym przez zespół ludzi bardzo młodych, w Puławskim Studio Teatralnym. Teraz, patrząc już z perspektywy dwóch sezonów pracy w Teatrze Dramatycznym, teatrze aktorskim, jaki rodzaj teatru Pani przedkłada, jaki wybrałaby Pani na przyszłość?

Wiem, że chciałabym być w teatrze, w którym by mi się dobrze pracowało. Dobrze i dużo. I chyba nie ma sensu rozgraniczać teatru ani na eksperymentalny, ani na tradycyjny — teatr jest albo dobry, albo zły.

Pani indywidualność aktorska szerzej może nawet niż w teatrze — w sensie popularności — dała się poznać w filmie, a ściślej w filmach, by wymienić głośną rolę Magdy w „Trzeba zabić tę miłość” w reżyserii J. Morgensterna, rolę w filmie „Dziewczyna i gołębica”, a ostatnio w „Znikąd donikąd” w reżyserii J. Kutza. Proszę jednak wytlumaczyć, dlaczego, mimo że świetnie się Pani „mieści” w filmie — Kałużyński określił nawet Panią „jako istne zwierzę filmowe” — długo się Pani broniła (wiem to skądinąd) i jeszcze często się Pani broni przed filmem?

Rzeczywiście parę razy odmówiłam zagrania w filmie, ale to wcale nie oznacza, że uważam film za podrzędniejszy gatunek sztuki. Denerwuje mnie, co prawda, na planie bałagan i może czasami specyficzne traktowanie nas aktorów i naszej pracy. Jednak generalnie nigdy w kontrolę do filmu nie byłam. Teraz znowu na przykład zagram w filmie J. Morgensterna pt. „Polskie drogi”. Zupełnie inna sprawa, że nie miałam w filmie ciekawych zadań aktorskich...

Więc jednak się Pani zarzeka! A rola Magdy? — obdarzyła Pani tę postać taką siłą wyrazu...

Nigdy nie lubiłam Magdy i nie identyfikowałam się z nią. A skąd to wrażenie, że ona to jestem ja? Cóż, nie umiem traktować niczego z dystansem, na zimno, więc pewnie trochę tej emocji przebiegło na ekranie.

Szkopuł, że trudno jednak Panią na coś namówić.

Niestety, należę do osób, które łatwo się nie poddają. Jestem uparta. Staram się wybierać, o ile to możliwe, choć nie zawsze dają się pogodzić chęci z okolicznościami. Zawsze długo się zastanawiam. Jestem kłopotliwa, wiem, w pracy też. Przyznaję się.

Rozmawiała: RITA GOŁĘBIEWSKA